

Gnieźnieńskie Forum Ekspertów Turystyki Kulturowej

Pytanie 67

Wpływ 'polityki historycznej' na (re)interpretację dziedzictwa w turystyce

dr Magdalena Banaszkiewicz, UJ Kraków / dr Sabina Owsianowska, AWF Kraków:

*Niniejszy numer Turystyki Kulturowej poświęcony został relacjom i zależnościom pomiędzy turystyką, kulturą a dziedzictwem. Wszyscy mamy świadomość tego, że dziedzictwo nie jest raz na zawsze, w jeden i ten sam sposób określone. Uznanie czegoś za dziedzictwo oznacza wybór spośród zasobów przeszłości. Wybór ten podyktowany jest mniej lub bardziej subiektywną interpretacją tego, co ważne dla tożsamości i przyszłych pokoleń. Odwołując się do Reinharta Kosellecka możemy powiedzieć, że interpretacja taka odwołuje się do przestrzeni doświadczenia, wychodzącego z przeszłości oraz horyzontu oczekiwań skierowanych w przyszłość. W naszym pytaniu chcemy poprosić Państwa o odniesienie się do jednego z istotnych czynników kształtujących rozumienie dziedzictwa. **Jaki jest, Państwa zdaniem, wpływ 'polityki historycznej' na (re)interpretację dziedzictwa w turystyce?***

Odpowiedzi:

dr hab. Armin Mikos v. Rohrscheidt, GSW, Poznań/Gniezno

Postawione pytanie odnosi się do relacji dwóch działań, kształtujących w znacznym stopniu założenia, wybór celów fizycznych, a nawet konstrukcję produktów niektórych form turystyki kulturowej (głównie turystyki dziedzictwa kulturowego, turystyki żywej historii, turystyki militarnej, ale także tematycznej (z biograficzną), eventowej i szeregu innych). W samym pytaniu pojawia się już przejęte od Kosellecka opisowe określenie interpretacji dziedzictwa, które akceptuję. By jednak móc dobrze uzasadnić moją opinię, muszę zacząć od próby ściślejszego określenia drugiego członu tej relacji, mianowicie od ustalenia treści i zakresu pojęcia „polityka historyczna”. W tym wypadku ma to kluczowe znaczenie, jako że jest to pojęcie wcale nie jednoznaczne, dodatkowo mocno rozmija się jego rozumienie przez historyków i polityków, a tym bardziej przez różnego rodzaju „realizatorów” owej polityki. Tak się złożyło, że jestem mocno zanurzony w niemieckim dyskursie kulturalnym, w którym pierwotnie ukuto pojęcie „Geschichtspolitik”. Nie mogę zatem zapomnieć, że od początku (i moim zdaniem - słusznie) było ono obsadzone w dużej mierze negatywnymi skojarzeniami i ostrzeżeniami, formułowanymi przez poważnych badaczy [por. Wagner 2009; Becker 2013]. Otóż w szerokim spektrum tego zjawiska, wynikającego z przeprowadzanych analiz dostrzegli oni kilka zasadniczych nurtów, które (proszę przyznać) kojarzą się raczej z zagrożeniem, niż obiektywizmem i pozytywnymi rezultatami. Wyliczę za przytoczonymi autorami krótką listę najważniejszych czy najczęściej stwierdzanych aspektów uprawiania polityki historycznej: manipulacja historią, mitologizacja dla celów objaśnienia świata, nowe samookreślenie etniczne połączone z dumą narodową (więc bycie dumnym z bycia Amerykaninem, Japończykiem, Niemcem itd.), legitymizacja rządzących (począwszy od historycznych despotów z łaski bogów lub Boga, a skończywszy na rozmaitych „partiach jedności”), uwrażliwienie opinii publicznej (a potem głównie mediów) na pożyteczne dla kogoś tematy (służące czasem przesłonięciu prawdziwych problemów lub nawet zamachów na praworządność), ale także skoordynowane działania na rzecz wprowadzenia alternatywnych narracji historycznych i cudzych wizji historii, określane zbiorczo mianem

rozszerzenia perspektywy. Generalnie w kraju, gdzie powstały pierwsze poważne badania, ich autorzy są dość zgodni, że polityka historyczna jest w zasadzie stronnictwowa i formułowana z politycznych przyczyn interpretacją historii, najczęściej podejmowaną z zamiarem przekonania opinii publicznej i większości społeczeństwa do podzielenia tej interpretacji, aby dzięki temu osiągnąć cele polityczne. To na początek, jako rodzaj memento.

Poważna dyskusja nad polityką historyczną toczy się również w Polsce, szczególnie na kanwie niedawno rozkwitłej uwagi części klasy politycznej do tego rodzaju aktywności. Początki tej krajowej dyskusji można z grubsza datować na rok 2005, czyli na okres rządów dziś także wiodącej opcji politycznej, a za jej promotorów uchodzi środowisko tzw. warszawskich konserwatystów, w tym grupa „muzealników” związanych z tworzeniem znanego wszystkim warszawskiego muzeum narracyjnego [Sadkiewicz 2009, s. 276-277]. Różnicę dostrzegam w fakcie, że w Polsce opisy i analizy polityki historycznej w dużej części akcentują jej pozytywy (w mojej opinii wyolbrzymiane) i – często – nader skromnie wskazują lub w ogóle pomijają jej negatywne strony i ryzyka z nią związane. Według Jana Sadkiewicza, autora jednej z tych polskich analiz, która wiąże politykę historyczną z zarządzaniem kulturą (a turystykę kulturową można przecież śmiało uznać za jeden z jego aspektów), owa polityka jest „misją kultywowania tradycji, kultury i dziedzictwa narodowego, konieczną, jako że wartości te nie odtwarzają się samoistnie” [Sadkiewicz, 2009, s. 277]. Na dowód dość jednostronnego rozumienia polityki historycznej (a przynajmniej starań o rozpowszechnienie takiego jej rozumienia) przywołam też definicję z polskiej Wikipedii, którą – jak rozumiem, zbiorowym wysiłkiem – stworzyli i utrzymują polscy zwolennicy tejże, będący w większości w większej potrzebie aktywnego monitoringu treści tej zbiorowej encyklopedii. Brzmi ona: „Polityka historyczna (niem. Geschichtspolitik) lub polityka pamięci – kształtowanie świadomości historycznej oraz wzmocnienie publicznego dyskursu o przeszłości.” [Wikipedia 2016]. Bardzo pouczające jest porównanie polskiego i na przykład niemieckiego opisu tego hasła (przy symptomatycznym braku angielskiego odpowiednika!). Można więc uznać, że w polityce historycznej w wersji polskiej idzie o promowanie określonej wizji historii, prowadzonej między innymi przez podmioty historyczne, w tym oficjalne instytucje państwa (na różnych poziomach). W środowisku jej zwolenników i współtwórców argumentuje się jej uprawianie tym, że jest ona po prostu jednym z elementów misji państwa służącej społeczeństwu, podobnie jak są nimi polityka zdrowotna czy kulturalna, i że państwo – każde państwo, świadomie czy mniej świadomie – i tak zawsze ją prowadzi, na przykład przez konstrukcję programów edukacyjnych czy (a widać to ostatnio szczególnie wyraźnie) przez dobór osób odznaczanych najwyższymi orderami za historyczne zasługi. Z pewnością ci spośród nas, którzy lepiej pamiętają okres PRL, kojarzą dopuszczalną i jedynie słuszną interpretację nowszej historii Polski, z jej wyłącznie negatywnym przedstawieniem elit państwa międzywojennego, zaciemnianiem i wymazywaniem wrogiej działalności wielkiego sowieckiego sąsiada przy jednoczesnym wysypie pomników wyzwolenia i wyzwolicieli z lat 1944-45, z wyłącznie bohaterską postawą zwykłych Polaków podczas okupacji, z oszukańczym pojęciem „repatriacji” Polaków z tzw. kresów na ziemie odzyskane i z setkami innych przykładów. W świetle wyżej napisanego należy to określić mianem skoncentrowanej, ambitnej i dosyć skutecznej polityki historycznej, choć tego pojęcia wówczas nie stosowano.

Mam nadzieję, że napisany powyżej wstęp wyraźnie uwidacznia moje obiektywne i obawy wobec wszelkiej polityki historycznej. Jeśli już w ogóle miałaby ona być prowadzona przez polityczne agendy państwa, jak ministerstwa odpowiednie do spraw kultury i edukacji, a także inne i niższe organy władzy wykonawczej (co do czego mam poważne wątpliwości) to wolałbym, by tego rodzaju zadania były zdefiniowane wyłącznie 1) pozytywnie i 2) konstruktywnie. Już rozwijam. Otóż najchętniej widziałbym politykę historyczną jako realizowaną przez instytucje naukowe i edukacyjne oraz współpracujące z nimi zainteresowane organizacje społeczne popularyzowanie i promowanie wybranych

pozytywnych postaw. Byłyby nimi na przykład zbiorowe działania podejmowane w dawniejszej i nowszej historii w przełomowych momentach dziejów, oparte na współpracy ludzi z wielu warstw społecznych, grup religijnych, etnicznych i nurtów politycznych dla wspólnego dobra społeczeństwa i państwa. Dopowiem: chodzi głównie o takie działania, które zakończyły się sukcesem. Należałoby do nich z pewnością szeroko zakrojona i realizowana przez kilka pokoleń współpraca jakże wielu ludzi z różnych środowisk w Wielkopolsce XIX i początku XX wieku, nazywana pracą organiczną. Skutecznie bronili oni na terenie zaboru pruskiego polskiego stanu posiadania w dziedzinie materialnego i niematerialnego dziedzictwa, ale także kapitału i własności ziemskiej, tworzyli przyczółki, a kiedy nadeszła pora, wzięli się także za (skuteczną) konspirację. Oczywiście przedmiotem polityki historycznej mogłaby być także umiejętność zjednoczenia się ponad podziałami ludzi pochodzących z obcych sobie i często nieprzyjaznych opcji politycznych: zarówno w roku 1918, kiedy pojawiła się wyjątkowo korzystna sytuacja dla odtworzenia niepodległego państwa. Jen bohaterami są i Piłsudski, i Dmowski, i Paderewski, i Haller oraz naprawdę bardzo wielu innych. A jeśli już mówić o momentach heroicznych i z góry przegranych, to niechby to było przypominanie i pokazywanie solidarnej walki patriotów z różnych obozów na barykadach Warszawy w roku 1944. Bezwzględnie zasłużył na instytucjonalne promowanie wielki ruch Solidarności, który mimo systematycznego siania nieufności przez władzę i jej tajne służby zjednoczył wielkoprzemysłowych robotników, intelektualistów i rolników. Nie brakuje nam zatem przykładów, które – szczególnie w obliczu dzisiejszych podziałów i po prostu w imię zawsze niezbędnej, jakże deficytowej w naszym społeczeństwie solidarności i poczucia wspólnoty - powinny być upamiętniane w tablicach i pomnikach, książkach i dotowanych filmach. Oraz w tematycznych trasach i szlakach turystycznych, a jeśli nas będzie stać: również w dofinansowywanych szkolnych wycieczkach.

Dokonując jednak refleksji nad tu i ówdzie deklarowanymi założeniami polityki historycznej i jednocześnie konfrontując je z jej postacią czy wersją „stosowaną” (szczególnie w dzisiejszej Polsce), stwierdzam przede wszystkim leżącą już w punkcie wyjścia przeciwstawność, nawet sprzeczność. Z jednej strony zgadzam się ze słowami jednego z najwybitniejszych współczesnych teoretyków społeczeństwa, Aleksandra Halla (z jego majowego wywiadu prasowego), że „pamięć historyczna jest niezbędna, poczucie, iż jesteśmy ogniwem w szeregu pokoleń, to podstawowa sprawa”. To jest pozytywna strona pielęgnowania dziedzictwa, w tym służących mu zorganizowanych zabiegów organizacyjnych (tu m.in. tworzenie muzeów, działalność instytucji pamięci) oraz edukacyjnych (jak m.in. ukierunkowane programy szkolne, rekonstrukcje historyczne czy jakkolwiek koordynowana turystyka dziedzictwa kulturowego). Jednocześnie - w mojej opinii - polityka historyczna w najnowszych dziejach naszego kraju, jak szczytnie nie ukazywano by jej społeczno-kapitałowych i edukacyjnych celów, w swojej realizowanej postaci staczała się prędzej czy później do roli przedłużenia propagandy (w jej rzadszych pozytywnych i niestety częstszych negatywnych wymiarach) na obszar płytkiej i wybiórczej, czarno-białej interpretacji historii, a w konsekwencji także na obszar interpretacji dziedzictwa, przede wszystkim tego określanego mianem „narodowe”. Jest przeto – niestety - czymś podejrzanie lepkiem, generalnie narzędziem jeśli użytecznym, to jednocześnie bardzo niebezpiecznym. Wymaga zatem (jeśli już musi być uprawiana) wyraźnie uzgodnionych prawnych i etycznych zasad, kompetentnych i realizujących consensus wykonawców oraz ustawowego uniezależnienia od aktualnego zarządu politycznego państwa i rzetelnej, szczegółowej kontroli przez niezależnych audytorów, ewentualnie przez instytucje obarczone zadaniem jej realizacji, z silnie zabezpieczoną niezależnością od wpływów bieżącej polityki i będących u władzy polityków. Argumentem na rzecz tak restrykcyjnego podejścia do polityki historycznej są zarówno jej dotychczasowe dzieje (w Polsce i nie tylko), jak i jej aktualna praktyka oraz skutki w Polsce i niedalekim sąsiedztwie. W naszym kraju taka polityka bywała realizowana bardziej (okres PRL) lub mniej (rządy koalicji PO i PSL) konsekwentnie.

Teraz staje się obiektem konsolidacji i jednocześnie przybiera na naszych oczach niepokojący kierunek i wymiar. Coraz bliżej – niestety – tej naszej „polityce” do skoordynowanych działań wielkiego wschodniego sąsiada. Choć i ten zachodni miał takie incydenty w swojej nowszej historii, akurat niestety wschodni Wielki Brat nie tylko był inspiracją i wzorcem uprawiania polityki historycznej w Polsce, ale i aktualnie wydaje się dostarczać wzorców i gotowych matryc. Wykażę to w postaci kilku przykładów, przypominając jednocześnie podstawowe wymiary owej stosowanej polityki historycznej i wskazując ich polskie odpowiedniki. Po pierwsze: władze tego imperium, niezależnie od jego aktualnej nazwy, na każdym etapie nowszej historii kreowały przerysowaną wizję jedności państwowej jako dziejową czy wręcz genetyczną konieczność, rodzaj narodowego przeznaczenia, a przy tym bezwzględnie podporządkowywały tej wizji historyczną i aktualną ocenę działań jednostek. Właśnie widzimy u nas miękkie na razie tego przejawy: w dzieleniu Polaków na bardziej i mniej patriotycznych z wykorzystaniem – wcale nie tak jednoznacznie – pozytywnych i negatywnych bohaterów historii, a wprost: „żołnierzy wyklętych” i tzw. Targowicy. Po drugie: twórcy oficjalnej historiografii w kraju niedawnego jeszcze Wielkiego Brata zamazywały i zamazują niewygodne dla siebie wydarzenia, jak zbójckie pakt z śmiertelnym wrogiem (w 1939 roku) czy zbrojne napady na sąsiadów (wojna fińska). W Polsce, w naszej delikatniejszej (?) wersji niestety od lat wymazuje się niesławne epizody lokalnej historii z lat II wojny światowej, jak masowe wydawanie i incydentalne mordowanie przedstawicieli mniejszości przez jakże wielu „zwykłych ludzi” powiązane z ich wzbogaceniem się kosztem ofiar, bratobójcze walki i skrytobójcze zamachy w ramach ruchu oporu, masową w wielu miejscach skalę kolaboracji z jednym i drugim okupantem, a także powojenne już pogromy i pojedyncze morderstwa. Warto już tu zaznaczyć, że takie zabiegi „wygumkowania” oddziałują kontrproduktywnie, ponieważ w oczach postronnego krytycznego obserwatora lub odbiorcy, jeśli jest on świadom choćby paru takich faktów, podważa to całą prezentowaną mu narodową interpretację historii i dziedzictwa historycznego: w myśl zasady, że „pół prawdy to całe kłamstwo”. Po trzecie, realizatorzy polityki historycznej w opisywanym wielkim kraju zakłamywali i zakłamuje własne błędy, klęski, a w przypadkach skrajnych – szczególnie w momentach politycznego przesilenia – nawet zbrodnie, którym nie da się całkowicie zaprzeczyć, przypisując je innym: albo wrogowi albo nieznanym, lecz wskazywanym palcem sprawcom (jak kaukascy separatyści). Dobrymi przykładami są tu sprawa katyńska kiedyś czy sprawa serii eksplozji w Wołgodońsku i innych miejscowościach z 1999 roku, a więc już całkiem niedawno. W ten sposób tworzyli i tworzą podwaliny pod kolejne bataliony kłamstw, wpajanych następnie milionom za pomocą codziennego „młotkowania” przez masowe media, zarządzane przez politycznych komisarzy i w pełni realizujące aktualne polecenia rządzących. W naszym kraju w epoce słusznie minionej władza nakazywała, a jej medialna machina posłusznie przypisywała winę za protesty samym protestującym (tak było w roku 1956, w 1968 i w roku 1970). Współcześni zaś propagandziści, którym nie można przecież przypisać zbrodniczego tła, ograniczają się na razie do owego miękkiego wycinka omawianego wymiaru, mianowicie do zakłamywania porażek. Najlepszym tego przykładem wydaje mi się cały rozbudowany „teatr smoleński”. W nim to mimowolni współtwórcy tragedii z roku 2010 (kto bowiem i na czyje zamówienie zaplanował i realizował feralny lot?) teraz nie tylko usiłują swoim przeciwnikom „wmówić dziecko w brzuchu”, co moralnie jest dla wielu nie do zniesienia. Przy okazji budują jednocześnie kolejny narodowy mit wielkiego męża stanu i jego bohaterskiej śmierci za Ojczyznę, żeby następnie włączyć go w „dobrą” tradycję wyselekcjonowanych patriotów, a jednocześnie uczynić jednym z filarów właśnie wznoszonego konstruktu pozytywnej polityki najnowszej historii, którym jakże sprawnie posługują się w dzieleniu społeczeństwa i ... w wygrywaniu wyborów.

Tu dochodzimy do ostatecznego, pełnego wymiaru niesławnej polityki historycznej, tworzonej pod interesy własnej ideologii rządzących czy (ostatnio) po prostu dla uzyskania

lub utrzymania „gołej” władzy. Po czwarte bowiem, kreatorzy moskiewskiej polityki historycznej, czy to na potrzeby aktualnego zamówienia, czy świadomie w ramach bardziej długofalowego konstrukty budowały dawniej i budują nadal całkowicie nieprawdziwą „spójną” wizję historii swojej i sąsiadów czy „obcych”. W wizji tej ofiara zawsze sama była sobie winna (jak w „Protokołach mędrców Syjonu” - fałszywce autorstwa carskich służb z epoki pogromów), a obrońca własnego progu czy prywatnej własności („kułak” z lat 20-tych), języka (ukraiński śpiewak ludowy z lat 30-tych) czy narodowej autonomii (litewski opozycjonista z lat 50-tych) był odpowiednio do obowiązującego kanonu wrogiem narodu, zdrajcą kraju i szpiegiem, a nawet faszystą - jak broniący dziś jedności swego kraju Ukraińcy. Taki stempel przydzielony mu za pomocą nachalnej i kłamliwej propagandy przyklejał się do niego na pokolenia na kartach podręczników szkolnych oraz w obowiązującej centralnej i lokalnej narracji. Przez to utrudnia i dziś, a dla wielu zgoła uniemożliwia porozumienie z sąsiadem, przedstawicielem historycznej mniejszości, człowiekiem o innych poglądach. Tego jeszcze w Polsce nie mamy w pełnym wymiarze (choć w ostatnich latach widzę już zadatki), ale i potrzeby naszych kreatorów polityki historycznej zdają się – póki co – mniejsze. Nie da się jednak zaprzeczyć, że tak pożądana przez twórców polityki historycznej jednolita wizja całych dziejów lub ich ważnego okresu, realizująca interpretację przeszłości i dziedzictwa w kategoriach narodu i państwa, na wschód od nas powstawała i powstaje w taki sposób i w takich właśnie poszczególnych etapach, czy może wymiarach (bo następują one nie tylko kolejno, ale też w atmosferze trwającego konfliktu często paralelnie w stosunku do siebie). Pytanie, czy chcemy tego dla nas, naszego społeczeństwa i kraju? Czy nie lepiej pozostawić historię tylko historykom, a jej popularyzację oprzeć na zasobach i walorach dziedzictwa, pozostawiając możliwie najbardziej otwartą interpretację odbiorcy, któremu dostarczymy miejsca, fakty i artefakty?

Napisałem, że w Polsce polityka historyczna (używająca tej nazwy lub też nie) miała swoje okresy mniejszej i większej intensywności. Dziś obserwujemy jej widoczne wzmożenie w niepokojących wymiarach. Mnożą się przykłady nie tylko pomysłów, ale także realizacji tzw. polskiej polityki historycznej, którą w niejednym jej przejawie można by nazwać raczej polityką „histeryczną”. Akceptując uzasadnione reakcje na zagraniczne lapsusy wynikające najczęściej z niewiedzy (jak osławione „polskie obozy koncentracyjne”), należy już zupełnie inaczej ocenić sytuację, kiedy zwolennicy i twórcy narodowej polityki historycznej wskazują na konieczność reakcji na rzekomo „wrogię” wobec narodu polskiego projekty narracji realizowane w kraju przez inne ugrupowania (partie), grupy (np. redakcje gazet) lub nawet konkretnych ludzi (autorów, zarówno publicystów, jak i pisarzy). W głowach tych ludzi i w ramach ich działań dziedzictwo przestaje być wówczas wspólnym dobrem z bardziej czy mniej ostro zdefiniowanymi znaczeniami i wartościami. Staje się natomiast przestrzenią dla politycznej praktyki realizowanej poprzez wybiórcze działania w teraźniejszości, którą dosadniej można by nazwać swoistym gwałtem na dziedzictwie. Obserwacja aktualnego życia publicznego dostarcza bardzo licznych i napawających niepokojem przykładów takich praktyk. Jednym z nich jest zmasowany atak na historycznego lidera „Solidarności”, według najgorszych wzorów politycznej nagonki eksponujący i jednostronnie interpretujący mało ważny fragment jego życiorysu, z czego skorzystać mają ludzie od lat próbujący przywłaszczyć sobie etykietę, tradycję i dziedzictwo dziesięciomilionowego ruchu Polaków. Innym - kuriozalnym - przykładem jest wstępna decyzja o wzniesieniu na reprezentacyjnej ulicy stołecznego miasta dwóch (!) pomników jednego, w dodatku kontrowersyjnego wydarzenia z ostatnich lat. Jeszcze innym jest właśnie podejmowana próba przejęcia gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej, najpierw przesądzona za pomocą zakulisowych decyzji przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a potem (miejmy nadzieję, że skutecznie) zastopowana przez protest donatora (miasta Gdańsk) oraz przez międzynarodowe środowisko historyków zaangażowanych w powstanie tej placówki. W myśl tej decyzji wieloryb (wielkie muzeum gotowe do otwarcia i prezentujące spójną

wizję historii światowego konfliktu) miał być połknięty przez śledzia: placówkę poświęconą siedmiodniowej, choć symbolicznej potyczce, zakładaną właśnie przez dwie osoby, za to prawomyślnie i gwarantujące posłuszną realizację kolejnych pomysłów realizatorów krajowej historycznej polityki. Inny niedawny obrazek zakrawający o śmieszność ewidentnie z kolei wskazuje na znaczenie przywiązywane przez polityków do rekonstrukcji historycznych. To świętowany w maju 2016 w autentycznym kościele i z zachowaniem form liturgii „ślub” Witolda Pileckiego z udziałem aktorów i... wicepremiera polskiego rządu, ministra kultury i dziedzictwa (!), zresztą wraz z zastępczynią. Z weselem, którego w biografii bohatera nie było... Relacja z tego wydarzenia ukazała się na oficjalnym portalu ministerstwa, co świadczy o jego rozumieniu przez kierownictwo resortu jako elementu polityki historycznej. Warto pamiętać, że rekonstrukcje wydarzeń są w pierwotnym założeniu żywymi obrazami, formami ożywiania wielkiej historii, ale też na przykład procesów wytwórczych czy typowych scen z epoki, tworzonymi jako jej wizualizacje między innymi w miejscach dziedzictwa. Takie zabiegi (imprezy) na pewno wspierają kontakt odbiorcy z historią i jej osobiste „doświadczenie”. Jednak kiedy oficjalnie biorą w tym udział politycy pierwszego szeregu (wybierając i niejako wskazując swoją obecnością, jakie wersje historii akceptują, a więc których autorów wraz z ich ideami wspierają), a same obrazy służą malowaniu czarno-białej wizji dziejów - z jednoznacznym wyznaczaniem roli „czarnych” i „białych” – to zamiast „żywej” czy „ożywianej” historii pojawia się nachalna propaganda, wkraczająca w wymiar dziedzictwa i kompletnie nieuprawnione zawłaszczanie historii. I mniejsza już o to, czy dzieje się to w ramach jakiegoś szerszego konceptu (siermiężnej, przynajmniej) polityki historycznej czy tylko jest to wdzięknięcie się do rosnącego w liczbę środowiska rekonstruktorów. Mleko się rozlewa, a ludzie mający na przykład inne poglądy polityczne tracą zaufanie do tej i przy okazji może również do innych form interpretacji dziedzictwa. A wraz z tym i turystyka, stosująca takie narzędzia, staje się podejrzana o to, że jest kolejnym narzędziem indoktrynacji.

Nie miejsce tu na wywody o innych jeszcze kontrowersjach wokół dziedzictwa, dodatkowo wzmacnianych przez politykę historyczną. Wyliczyłem je w publikacji o przewodnictwie [Mikos v. Rohrscheidt 2014, s. 23-28], wspomnę więc tylko hasłowo: chodzi o takie definiowanie samego dziedzictwa „narodowego”, które jednocześnie upiększa i wyolbrzymia to, co „nasze” (etnicznie, czy na przykład wyznaniowo) jednocześnie marginalizując i bagatelizując udział, wpływ i znaczenie, wszystkiego co „obce”, bo wytworzone czy dokonane przez niepolskie czy niekatolickie grupy i osoby, połączone nawet ze zniesławianiem i odrzucaniem owych obcych (w szczególności dotyka to wkładu polskich Żydów).

Podsumowując tę część: w mojej opinii, w imię wolności (i w imię szacunku dla ogółu obywateli jako suwerena właśnie, a nie jako plastycznego półproduktu dla twórczej działalności inżynierii społecznej) NIGDY nie może być zgody na to, żeby jakiegokolwiek ugrupowanie, które na mocy wyborów posiada chwilowy mandat do zarządzania państwem, przyznawało sobie mandat na pisanie historii. Zawsze bowiem pojawi się w takiej grupie pokusa napisania takiej, która jakoś... pomaga wygrywać następne wybory. Takie zastrzeżenie powinno być szczególnie ważne w Polsce, gdzie wciąż na nowo zaprzęga się historię do walki politycznej.

Wpływ polityki historycznej na interpretację historii w turystyce zależy w mojej ocenie od szeregu czynników, z których najważniejsze (nie wszystkie) poniżej wymienię.

1. Siła nacisku politycznego i skala reakcji na ten nacisk. Składa się na nią z jednej strony waga, jaką faktycznie (a nie tylko deklaratywnie) politycy mający aktualnie wpływ na kierunek zarządzania państwem i (w mniejszej skali) poszczególnymi regionami przywiązują do realizacji własnych (?) haseł formułowanych centralnie na poziomie politycznym (w programach wyborczych i ministerialnych) w stosunku do „zarządzania historią”

i dziedzictwem. Część z nich może być bowiem hasłami bez pokrycia, formułowanymi dla pozyskania jakiejś grupy wyborów czy politycznych stronników. Jednak inaczej sprawa ma się, gdy zaczną one być realizowane, na przykład w formie kreowania i rozpowszechniania symboli, w programach narzucanych instytucjom promującym za granicą polską kulturę (IAM) a zwłaszcza turystykę przyjazdową (POT) i innym. Z drugiej strony są to decyzje rozstrzygające, które badania naukowe oraz działania kulturalne i edukacyjno-wychowawcze będą wspierane przez państwo i przez realizujące jego zlecenia samorządy, jakie instytucje służące pamięci historycznej wspólnoty zostaną powołane do życia i z jaką misją, które zaś będą pozbawione środków, które zlikwidowane, a w których wymieni się kierownictwo (wraz z instrukcją długofalowych działań). Jeszcze inną odsłoną tego nacisku (tu już konkretnie powiązaną z turystyką) są działania polityków na poziomie regionalnym i lokalnym w stosunku do szeroko rozumianej branży turystycznej. W tym ostatnim mieści się np. ocena przez władze rozstrzygające konkursy i przetargi. Związana z nią jest akceptacja lub odrzucanie czy łagodniej: preferowanie albo dyskryminowanie ofert turystycznych takich jak: programy wycieczek szkolnych, produkty regionalne i lokalne (np. opracowania szlaków dziedzictwa, miejskich tras turystycznych), treści przewodników. Ma z nią ścisły związek reakcja branży, a mianowicie: dostosowywanie tychże programów, koncepcji oraz treści interpretacyjnych do faktycznych (bo wyraźnie określonych) lub nawet tylko domniemyanych wymagań i preferencji władzy publicznej. Dobrym przykładem adaptacji do centralnych założeń polityki historycznej mogą być programy wycieczek z czasów ministra R. Giertycha (2006-2007), dofinansowanych przez resort edukacji. Z kolei przykładami przystosowywania się do potrzeb i preferencji władzy są „prawomyślne” lokalne przewodniki turystyczne, eksponujące interpretacje historii, tematy czy nawet wprost obiekty bliskie aktualnemu zarządowi województwa powiatu czy gminy (miasta), a pomijające lub traktujące marginalnie te mniej władzy mile.

2. Siła oddziaływania masowego. Na ten czynnik składa się w mojej opinii przede wszystkim faktyczne przełożenie danej interpretacji historii na programy szkolne i aktywność turystyczną szkół wszelkiego typu. W tym ujęciu realizatorzy polityki historycznej rozstrzygają też, jakie będą budowane pomniki i zakładane muzea, jakie nazwy nada się ulicom i placom, kogo uczci się tablicą czy trasą biograficzną po mieście, jakie dni będą (nie będą – niepotrzebne skreślić) obchodzone jako święta państwowe i którym faktom historycznym leżącym u ich podstaw nada się (lub nie nada) kluczowe znaczenie, czyniąc je przedmiotem oficjalnej celebry, publikacji i narracji medialnej, przemówień programowych czy publicznie sponsorowanej inscenizacji. Ewidentnie skutki tego rodzaju nacisku były widoczne w okresie PRL, kiedy to władze miały zarówno wszelkie środki, jak i wystarczająco długi czas dla kształtowania takiego oddziaływania. W okresie po 1989 roku, na skutek częstej zmiany opcji politycznych u władzy (a w przypadku jedynej dłużej rządzącej, czyli Platformy Obywatelskiej – z powodu niewielkiego zainteresowania polityką historyczną ze strony politycznych decydentów) ten element nie odegrał dotychczas (być może na szczęście) znaczącej roli w kształtowaniu interpretacji w turystyce, ponieważ kolejne ekipy rządowe nie zdążyły wcielić swoich wizji w systemie oświaty. Na siłę oddziaływania masowego mogą jednak wpłynąć także inne, częściowo sterowane zjawiska. Na pewno niemałe znaczenie ma w tym kontekście skala obecności tematów historycznych wraz z ich interpretacjami w debacie publicznej i w środkach masowego przekazu. Jest ona najczęściej albo bezpośrednim skutkiem działań władzy (zamawiane lub szczodrnie finansowane audycje w mediach publicznych, wyraźne preferencje w konkursach i przetargach dla takich produktów medialnych), albo formuje się jako reakcja na te działania: dyskusja w mediach zależnych i niezależnych od władzy, skierowanie uwagi i aktywności grup społecznych,

organizacji, stowarzyszeń – a tym samym powstawanie zainteresowania i w konsekwencji popytu turystycznego - na określone miejsca czy obszary, ale również na określony kierunek interpretacji dziedzictwa. Myślę, że dobrym przykładem może być aktualna debata publiczna o „żołnierzach wyklętych” wzbudzona i podtrzymywana w ostatnim czasie z nadzwyczaj szerokim wykorzystaniem instytucji państwowych (IPN) oraz mediów publicznych. Pewne znaczenie mają tu także niepaństwowe ale publiczne kanały przekazu, na przykład masowe i częste odwoływanie się do historycznych wydarzeń, tematów i ich określonej interpretacji w kościelnych kazaniach (bo na pewno nie są to homilie), docierających przecież nadal do sporego (25-35%) odsetka polskiej populacji - praktykujących katolików. Oczywiście siłę tego czynnika określa najpierw popularność danej opcji interpretacyjnej w polskim duchowieństwie, a następnie odsetek duchownych wykorzystujących wątki historyczne i interpretację dziedzictwa w swoim kaznodziejstwie. Niezależnie od poziomu przekazywanych przez nich treści i ich zgodności z rzeczywistymi faktami historycznymi zarówno ów odsetek, jak i poziom jednolitości interpretacyjnej wydaje mi się wysoki - jednak ocena tego czynnika wymagałaby osobnej analizy, której wyniki mogłyby być bardzo ciekawe.

3. Skala przełożenia polityki (centralnej i lokalnej) na poglądy obywateli i ich aktywność realizowaną w czasie wolnym. Ten ostatni czynnik jest najtrudniejszy (najkosztowniejszy) do ustalenia, materializuje się też zdecydowanie najwolniej, ponieważ zakłada konieczność odpowiedniego „nasylenia” danymi tematami i pożądaną ich interpretacją świadomości odpowiednio dużej liczby osób. Potrzeba na to zarówno czasu, jak i wielokrotnego zetknięcia grupy docelowej (grup społecznych, pokoleniowych czy też całego społeczeństwa) z propagowanymi ideami, bohaterami, czy interpretacjami wydarzeń. To drugie jest może nawet trudniejsze, ponieważ społeczeństwo nie czytające i coraz mniej nawet oglądające staje się bardziej odporne na tego rodzaju bodźce. Dlatego właśnie obowiązkowa szkoła pozostaje aktualnie najsilniejszym potencjalnym instrumentem polityki historycznej. Właśnie ten fakt powodował dotychczas, że uprawiana przez niektóre ugrupowania polityczne w Polsce polityka historyczna słabo przekładała się na produkty turystyczne, a jeszcze słabiej na zachowania turystyczne Polaków.

Inny ważny aspekt, na który chciałbym choćby wskazać w tym kontekście, to relacje krajowej polityki historycznej i jej wpływu na interpretację historii do doświadczeń turystów zagranicznych i formułowanych na tej podstawie przez nich ocen Polski jako destynacji turystycznej oraz ocen pobytów turystycznych w Polsce. Czy są one takie, jak oczekivaliby tego twórcy krajowej polityki historycznej, czy może raczej odwrotne? Przykładem może być codzienne zderzanie się grup turystów pochodzenia żydowskiego zainteresowanych tylko swoim dziedzictwem i historią Żydów na terenie Polski (w przypadku Żydów z Izraela - także przecież przekazywanym w połączeniu z określoną interpretacją) oraz formułowanej jednostronnie polskiej wizji obecności Żydów w naszych dziejach i przebiegu Holokaustu, z pominięciem wielu niewygodnych faktów, powszechnie znanych w świecie. Z relacji organizatorów wycieczek wiem, że takie zderzenia dwóch polityk historycznych „in situ” były czasem tragikomiczne, a czasem ocierały się o rękoczynny.

Trzecią część mojego wywodu chcę poświęcić odpowiedzi wprost na wyartykułowane w zadanym pytaniu zagadnienie relacji między polityką historyczną a interpretacją dziedzictwa w turystyce (głównie) kulturowej. Polityki historycznej nie da się unikać, ale – jak już wyżej napisałem – w wymiarze konstrukcyjnym nie powinno się jej powierzać ... politykom i nie powinno się im ulegać w tworzeniu wielkich i małych projektów

upamiętniania i zachowania dziedzictwa (jak muzea, miejsca pamięci) i turystycznych jak centra interpretacji, szlaki i lokalne trasy historyczne, oraz inne.

W kontekście rozważań nad relacjami polityki historycznej i turystyki (a w niej interpretacji dziedzictwa), warto zadać sobie fundamentalne pytanie, czy może w turystyce, tej powiązanej z interpretacją dziedzictwa, istnieje już własny złoty kodeks, lepszy i bardziej gwarantujący konstruktorom i realizatorom programów i propozycji rzetelność koncepcji i owocność działań interpretacyjnych, służącą społeczeństwu i przyszłości. W mojej opinii taką złotą księgą podstawowych reguł jest nieśmiertelne „*Interpreting our heritage*” Freemanna Tildena [por. Tilden 1957, zasada IV i V]. W określonych przezeń fundamentalnych zasadach interpretacji czytamy, że jej głównym celem nie powinno być instruowanie czy nawet edukowanie (a więc efektywne przekazywanie informacji), lecz „prowokowanie” odbiorcy, czyli pobudzanie go do *samodzielnego* myślenia i oceny. To zawiera zaś dostarczenie mu narracji innej niż jednostronna i wybiórcza. Dalej, zdaniem Tildena, interpretacja dziedzictwa winna zmierzać do przedstawiania raczej całości niż części problemu czy tematu: dlatego należy szukać ujęć całościowych i wieloaspektowych, zjawisk, które ze swojej natury są złożone (a nie czarno-białe - AMR). Zbiorem znakomitych komentarzy i zasad szczegółowych aktualizujących te reguły i przekładających je na konkretne działania w dzisiejszej sytuacji są dokumenty opracowane przez międzynarodowe gremia ekspertów interpretacji, między innymi Karta Interpretacji wypracowana przez ekspertów ICOMOS [2008], której zasady relacjonuję w monografii na temat przewodnictwa [Mikos v. Rohrscheidt 2014, s. 29-36]. Zamiast więc wprowadzać do turystyki konia trojańskiego w postaci jakichkolwiek elementów polityki historycznej, lepiej wrócić może do złotych reguł interpretacji. Te bowiem zdecydowanie sprzyjają refleksji nad historią i wspomagają ją, ale też tworzą świadomość miejsc i ludzi oraz ich korzeni i środowisk, wolę zachowania dziedzictwa jako wspólnej wartości i chęć wyciągania indywidualnych wniosków z konfrontacji z nim, a dodatkowo budują w zwiedzającym nieinwazyjną wobec innych tożsamość i ducha współpracy. Interpretacja w turystyce powinna być więc otwarta. Jeśli podawana w ramach realizacji polityki historycznej interpretacja dziedzictwa taką nie jest – czyli jest zamknięta („ukończona”), w pełni jednorodna, i konsekwentna przez dłuższy czas - to współprzyczynia się ona do powstawania mitu. Mit (na przykład „żołnierzy wyklętych”) jest zresztą jednym z ulubionych narzędzi tej polityki, choć jej luminarze nie lubią się do tego przyznawać. A mit przecież – doceniając jego starożytną genezę i wielkie przez wieki znaczenie kulturotwórcze, w tym także religiotwórcze i narodotwórcze - zdecydowanie większą i pozytywną rolę odgrywał w kulturach dawnych, oddzielonych, zamkniętych. Musimy pamiętać, że mit jest także gotowym schematem interpretacyjnym, mającym swoją wielką nośność - i równie wielkie ograniczenia. Typowe dla niego jest, że konsekwentnie w czarno-białym schemacie odmalowuje „swoich” i „obcych”, przydzielając im określone role. Przekaz zmitologizowany mniej chętnych do myślenia odbiorców z owego myślenia „zwalnia”. Dostarcza im w to miejsce gotową, najczęściej właśnie czarno-białą narrację, po czarnej stronie obrazu stemplującą obcych czy nawet wrogich „innych”. W ten sposób (współ)tworzy określoną bazę tożsamości swoich odbiorców, którzy przekazują ją dalej. Czy tego jednak na pewno chcemy? We współczesnym organizowaniu doświadczenia i przekazu dziedzictwa mity (także te nowsze i najnowsze) powinniśmy traktować z szacunkiem, ale poddawać... dalszej interpretacji. A należy to czynić, by obnażyć w nich to, co uproszczone i nieobiektywne, co tworzy ryzyko jeśli posłuży do budowania tożsamości, ale także, żeby nauczyć odbiorców krytycznego myślenia. Do tego akurat mity – malujące kontrastowe i ocenne obrazy - nadają się jako kliniczne, więc łatwe w analizie przykłady. Oto zadanie dla interpretacji dziedzictwa, która wychodząc od takich przykładów może być dialogiczna, różnorodna, wykorzystywać osobiste doświadczenie odbiorców i ich kreatywność, dokonywać się w wymianie poglądów i współpracy. Wyobraźmy sobie na przykład dyskusję z Mieszkem I na temat prawdziwych i głównych przyczyn jego

przełomowych decyzji z roku 966 (na tle mitu o nawróceniu „narodu”), spór reformowanego i katolickiego szlachcica (obydwu patriotów) z okresu konfederacji warszawskiej (na tle mitu o powszechnej katolickości) czy „brzeską” rozprawę sądową Wincetego Witosa albo Wojciecha Korfanteo (w kontekście forsowanego mitu o patriotycznym monopolu Józefa Piłsudskiego i jego stronników). Albo paralelną prezentację biografii prostego żołnierza spod Monte Cassino i tego znanego Oki w muzeum narracyjnym - dwie tak różne a jednak zbiegające się narracje ludzi, którzy bili się za Polskę, natychmiast rozbijają w puch dwa przeciwstawne mity, formułowane na różnych etapach najnowszej historii. Takie działania w ramach interpretacji wydają się łamać aktualnie popularne założenia polityki historycznej – jak zresztą i założenia każdej przeszłej i przyszłej, bazującej na groźnej i zakłamannej „jedyniej słuszności”.

W świetle wyżej napisanego moje postulaty wobec środowiska krajowej turystyki kulturowej są dość oczywiste.

Pierwszy z nich odnosi się do ewentualnych działań realizowanych na styku formułowania i realizacji polityki historycznej oraz turystyki kulturowej, czyli na swoistym metapoziomie. Powinno się w nich unikać bezpośrednich odniesień politycznych (w tym realizacji aktualnych „zamówień” środowiska polityków) oraz wszelkich działań, kreujących interpretację dziedzictwa jako rodzaj prymitywnego kultu wycinków przeszłości (tej wygodnej dla kogoś jako narzędzie pałkarskiej „edukacji”). Jeśli już decydować się na wprowadzenie elementu „kształtowania świadomości historycznej” do interpretacji (czyli do treści tworzonych programów i przekazów w nich zawartych), to tylko na taką, która z historii i dziedzictwa czyni dla stykających się z nimi źródła inspiracji dla pomysłów: na siebie samych w dzisiejszej i nadchodzącej rzeczywistości i na budowanie nowoczesnego, kreatywnego, przyjaznego, skierowanego ku rozwojowi społeczeństwa. Wiem, że to nieco ogólne hasła, więc uzupełnię je przykładami, którymi niech będą biografie. Bohaterami interpretacji okresu wojny skierowanej ku masowemu odbiorcy i służącej budowaniu powinni być żołnierze BEZ ewidentnej skazy, a nie postaci moralnie dwuznaczne, a więc Aleksander Krzyżanowski czy Witold Pilecki, a nie Józef Kuraś czy Zygmunt Szyndzielarz. Bohaterami interpretacji przekazywanej masom i dotyczącej okresu bez państwa powinni wreszcie stać się tacy ludzie jak Hipolit Cegielski czy Karol Marcinkowski (i wielu innych), a nie tylko i wyłącznie ludzie z bronią w ręku. Z drugiej strony przedmiotem refleksji i oceny, a nie tylko bezkrytycznej chwalby, powinny stać się działania takich postaci jak na przykład Bolesław Chrobry (skuteczne przywództwo i wielkość, ale i współodpowiedzialność za szybki upadek tworzonego państwa) czy Józef Piłsudski (niezlomny wódz i ojciec-założyciel, ale i bezlitosny autokrata). Bohaterami zbiorowej interpretacji i wyobraźni w turystyce kulturowej muszą stać się również zwykli ludzie różnych epok (chłopi i chłopki, rzemieślnicy i ich żony, przedstawiciele lokalnych mniejszości, więcej duchowni, służba dworska i szeregowi żołnierze), tak by ogląd historii nie kończył się na liderach i wybitnych jednostkach, ale obejmował życie i dramaty prawdziwych przodków znakomitej większości z nas.

Drugi postulat dotyczy twórców programów i produktów turystyki kulturowej (w tym edukacyjnych wycieczek) i gestorów konkretnych produktów (jak pakietów tematycznych). W swojej pracy powinni oni bardzo uważać dokonując implementacji jakichkolwiek założeń czy konkretnych idei polityki historycznej. W naszym podzielonym społeczeństwie mogą one bowiem przynieść więcej złego niż dobrego, zaś w kontekście turystyki przyjazdowej osiągnąć przeciwieństwo swojego zamierzenia - i zaszkodzić, a nie pomóc opinii Polski jako destynacji, Polaków jako gospodarzy, a przy okazji także opinii twórcy i jego produktu.

Trzeci postulat dotyczy realizatorów interpretacji dziedzictwa: przewodników w miastach, na szlakach i w obiektach oraz pilotów wycieczek, pracujących w bezpośrednim kontakcie z uczestnikami turystyki. Powinni oni być wyczuleni na nachalną propagandę

realizowaną „in situ” - w miejscach dziedzictwa. W szczególności muszą więc krytycznie podchodzić do ideologicznych motywów twórców części wystaw i scenariuszów eventów lub autorów dominujących narracji w niektórych obiektach. W swojej przekazywanej turystom interpretacji winni oni profesjonalnie i taktownie „odzyskiwać teren” dla możliwie obiektywnej prezentacji faktów i ich kontekstów, traktując to jako uczciwy zwrot gościom tego, co zostało im „ukradzione” przez jednostronny przekaz. Zakłada to nie tylko szeroką wiedzę historyczną interpretatorów, ale i umiejętność bezkonfliktowego i klarownego uzasadniania własnej wersji przekazu, empatię i nawet pasję dla przedstawiania innych (obcych, alternatywnych) elementów narracji, a także pewne umiejętności dyplomatyczne...

Bibliografia:

- Becker M., 2013, *Geschichtspolitik in der Berliner Republik. Konzeptionen und Kontroversen* Springer VS, Wiesbaden
- The ICOMOS Charter for the interpretation and preservation of cultural Heritage sites*, 2008, ICOMOS, Quebec
- Mikos v. Rohrscheidt A., 2014, *Współczesne przewodnictwo miejskie. Metodyka i organizacja interpretacji dziedzictwa*, Proksenia / KulTour.pl, Kraków Poznań,
- „Polityka historyczna” 2016, hasło w polskiej edycji: Wikipedia, dostęp: 31 maja 2016
- Sadkiewicz J., 2009, *Polityka historyczna w Polsce. Teoria - praktyka - dyskurs publiczny*, „Culture Management”, s. 276-288
- Tilden F., 1957, *„Interpreting our heritage”*, University of North Carolina Press, Chapel Hill
- Wagner B., 2009, *Deutsche Erinnerungskulturen und Geschichtspolitik*, „Jahrbuch für Kulturpolitik“ t. 9, s. 17-31

Prof. dr hab. Andrzej Kowalczyk, UW, Warszawa

Najpierw ustosunkuję się do kwestii zawartej w pytaniu „Jaki jest, Państwa zdaniem, wpływ 'polityki historycznej' na (re)interpretację dziedzictwa w turystyce?” w sposób ogólny, a potem przejdę do spraw bardziej szczegółowych.

Pojęcie „historia” można rozumieć jako: (1) bliską określeniu „przeszłość” (np. historia geologiczna obszaru), jako (2) dziedzinę nauki (rozumianą w kategoriach administracyjno-instytucjonalnych), jak również jako (3) wiedzę o przeszłości. W każdej z opisanych sytuacji możemy mówić o dziedzictwie, jako zbiorze zawierającym świadectwa przeszłości. Mamy więc dziedzictwo przyrodnicze (np. geologiczne) i dziedzictwo kulturowe (np. antyczne budowle), które są atrybutami rzeczywistości rozumianej jako kategoria obiektywna, czyli istniejąca niezależnie od naszej woli. Jednak w praktyce spotykamy się z interpretacją dziedzictwa – i przyrodniczego i kulturowego – w zależności od znaczeń, jakie mu nadamy. Te znaczenia są nadawane przez pojedynczych ludzi, społeczności lokalne, narody, ale i kręgi kulturowe o charakterze ponadnarodowym. Właśnie **proces nadawania znaczenia** (a nie *znaczenie*) rozumiem jako wspomnianą w pytaniu „politykę historyczną”.

W tym miejscu można postawić pytanie, jak rozumiem pojęcie „polityka historyczna”? Otóż uważam ją – mimo że w naszym kraju definiują ją i posługują się nią często osoby mające formalnie wykształcenie historyczne (absolwenci historii) jako subdyscyplinę **nauk politycznych**. Przecież już składnia wskazuje, że czym innym jest „polityka historyczna”, a czym innym „historia polityczna”, która jest częścią historii dotyczącą kwestii politycznych (przez analogię do „historii gospodarczej”, czy „historii wojennej”).

Kluczową kwestią w postawionym pytaniu jest użycie sformułowania „...(re)interpretacja dziedzictwa...”. Według mnie (wspomina też o tym Autorka pytania), jeżeli w jakiegokolwiek sprawie używamy określenia „interpretacja” (czy „reinterpretacja”) to automatycznie wchodzimy w sferę znaczeń (interpretacja czego?, przez kogo?, dla kogo?, kiedy?, gdzie?, po co? itd.). Jeżeli do tego zajmujemy się interpretacją w kontekście „polityki historycznej”, to wchodzimy w sferę **ideologii**. A ideologie mają to do siebie, że stopień ich

akceptacji przez społeczeństwo podlega fluktuacjom ze względu na upływ czasu. Tym samym musimy sobie zdawać sprawę, że nasza interpretacja „...dziedzictwa w turystyce” w czasie „t” będzie inna niż w czasie „t+1”. Tak więc zalecałbym osobom zajmującym się profesjonalnie turystyką (zwłaszcza badaczom) umiar w nawiązywaniu do koncepcji „polityki historycznej”. Chyba, że mamy w sobie „żyłkę” ideologa, który widzi otoczenie „tu i teraz”.

Jestem geografem i poruszane w pytaniu kwestie spostrzegam na pewno inaczej niż np. historyk, antropolog, czy socjolog. Z racji mojego wykształcenia i zawodu zwracam uwagę na fakt, iż niektóre obiekty, wydarzenia itp., które są świadectwem przeszłości i są tym samym częścią dziedzictwa kulturowego są różnie odbierane przez różnych turystów ze względu na tzw. filtr kulturowy. Zajmuję się trochę percepcją map turystycznych przez odbiorców z różnych części świata i wiem, że np. niektóre kolory (nie mówię o znakach graficznych) mają inne znaczenie dla turystów z Europy, a inne dla turystów z Azji Wschodniej. Piszę o tym, gdyż nasza interpretacja dziedzictwa związanego z obszarem X często nie będzie rozumiana przez turystów z obszaru Y. Inny przykład – niedawno w Poznaniu było spotkanie osób interesujących się turystyką kulinarną. W czasie dyskusji Gość z Zagranicy zapytał o kuchnię, która w Polsce jest jakoś znacząca. Część uczestniczących w spotkaniu Osób podała kuchnię wielkopolską, ja wypowiedziałem się za kuchnią podlaską (w następnej kolejności: śląską i wielkopolską). Czy ktoś powiedział nieprawdę? Nie, po prostu dziedzictwo, wtedy gdy jest przedmiotem naszej interpretacji ma dla nas znaczenie, ale nie musi być znaczące dla innych. Kolejny przykład z zakresu tradycji kulinarnych. Przytaczając opinię dr Grzegorza Russaka (eksperta od spraw kulinarnych, w swoim czasie wieloletniego dyrektora Domu Polonii w Pułtusku, autora m.in. programu w TV „Smaki polskie”), na początku epoki nowożytnej (XVI-XVIII w.) w Polsce wyróżniały się dwie odmienne tradycje kulinarne: (1) kuchnia dworska (szlachecka) i (2) kuchnia chłopska. Różnice między nimi były znaczne już na etapie doboru podstawowych składników, co dopiero mówić o dodatkach w postaci przypraw, sposobie podawania itp. Czy można którąś z nich uznać za „prawdziwie polską”, czy też oba dziedzictwa kulinarne są równie ważne? Chyba jednak obie tradycje są dziedzictwem kuchni polskiej.

Reasumując tę część wywodu – jeżeli mówimy o **(re) interpretacji** (lub **interpretacji**) **dziedzictwa w turystyce**, to zaczynamy zajmować się interpretacją znaczeń, a tym samym dotykamy **kwestii ideologicznych**.

Czy można tego uniknąć? Moim zdaniem TAK, jeżeli dostarczymy turystom informacje ukazujące problem widziany z różnych perspektyw.

Jako przykład mogę podać zespół memorialno-muzealny Blood River Monument & Museum Complex oraz Ncome Monument & Museum Complex w prowincji KwaZulu-Natal w RPA. Oba są poświęcone temu samemu wydarzeniu (bitwie między Afrykanerami a Zulusami w 1838 roku), przy czym jeden obiekt jest na jednym brzegu Blood River, a drugi na brzegu przeciwnym. W pierwszym z podanych muzeów jest przedstawiona bitwa, tak jak interpretują ją Afrykanerzy (dziedzictwo „Białych”), a w drugim muzeum jest ona ukazana w ujęciu Zulusów (dziedzictwo „Czarnych”). Jeśli ktoś ma ochotę bliżej zapoznać się z tym tematem, to proponuję artykuł Pauli Girshick (Indiana University Bloomington, USA) z 2004 r., który znajduje się m.in. na portalu academia.edu (tytuł „Ncome Museum/Monument: From Reconciliation to Resistance”). Do tematu odnoszą się także strony internetowe – np. <http://www.bloedrivier.org.za> (wersja afrykanerska). Od strony naukowej temat (re)interpretacji dziedzictwa został podjęty zresztą nie tylko w Republice Południowej Afryki (np. Christian J. Emden „Land, Race, and Citizenship: The Political Spaces of Monumentalism in South Africa”, 2013; Nsizwa Dlamini „The Battle of Ncome project: state memorialism, discomfoting spaces”, 2001), ale też w USA (Rebecca Tsosie „Native Nations and Museums: Developing an Institutional Framework for Cultural Sovereignty”, 2009). Podane publikacje są dostępne w Internecie w formie pdf. Pisałem

zresztą trochę na temat pola bitwy nad Blood River w 2009 r. w pracy zbiorowej (red. A. Stasiak) „Kultura i turystyka razem, ale jak?”.

Kończąc moją wypowiedź: temat poruszony w pytaniu interesował i interesuje badaczy w krajach o tzw. trudnej historii w odniesieniu do dziedzictwa – w USA, Kanadzie, RPA, czy w Niemczech. Warto zapoznać się z ich doświadczeniami w tym zakresie, aby zacząć się poważnie zajmować (lub nie zajmować) ideą „polityki historycznej” w odniesieniu do turystyki kulturowej.

dr hab. Krzysztof Kasprzak, prof. nadzw., Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu (Katedra Turystyki Wiejskiej)

prof. dr hab. Beata Raszka, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu (Katedra Gospodarki Przestrzennej)

Czy "polityka historyczna" istnieje? Oczywiście, zawsze była. W naszym kraju nie jest to jednak niszowa publicystyka kreująca nieprawdziwe mity, czy mało poważna działalność różnego rodzaju marginalnych ugrupowań politycznych lub grup wyznaniowych. Była zawsze. Obecnie, prowadzenie polityki historycznej, mającej na celu odpowiednie ukształtowanie świadomości społeczeństwa w celu zjednoczenia go wokół określonego i jedynie słusznego programu politycznego, to w naszym kraju jedno z najważniejszych działań Prezydenta RP. Podobnie zresztą jak w PRL, gdzie było to w tym okresie podstawowe działanie we wszystkich dziedzinach życia jedynej słusznej opcji politycznej. Zadania i zakres obecnej polityki historycznej zostały jednoznacznie zdefiniowane na posiedzeniu Narodowej Rady Rozwoju na temat „Polityka historyczna: konteksty, pomysły, realizacje”. Polityka historyczna jest obecnie w naszym kraju nie tylko elementem budowy pozycji państwa w przestrzeni międzynarodowej, ale głównie działalnością mającą na celu wychowanie kolejnych pokoleń obywateli. Pozycja kraju poprzez politykę historyczną nigdy nie zostanie jednak zbudowana. Działania te są natomiast groźne jako element wychowawczy, bowiem nie szanują całej przeszłości, tworzą nową, działają wybiórczo, generują mity mające być nową i jedyną prawdą. Wadliwie prowadzona polityka historyczna, pełna kompleksów i lęków, wyrządzi więcej zła niż pożytku. Nie tylko nie sprostuje negatywnego obrazu, ale go jeszcze pogłębi. Pozycja państwa nie zależy od propagandy opartej na bliżej nieokreślonych sformułowaniach, ale od potencjału intelektualnego, gospodarczego, czy moralnego. Od tego, co cennego ma się innym do zaoferowania. Powszechny kompleks niższości i niechęć do wszystkiego co inne, co znajduje się w przestrzeni naszego oddziaływania, nie niwelowane, ale uwypuklane przez politykę historyczną, wzbudzały, wzbudzają i wzbudzać będą zawsze negatywne skojarzenia. Interpretacja i historia uwikłane w politykę doprowadzają wcześniej lub później do klęski.

Każda interpretacja dotyka pewnej tajemnicy. To spojrzenie na fakty lub osoby i ich działalność przez pryzmat naszej wiedzy. Na interpretację dziedzictwa bezpośredni wpływ ma nie tylko historia, ale także nasza zawodna pamięć. A często nie tyle zawodna, co wybiórcza, wybierająca to co wygodne i zasługi innych przypisująca sobie.

Interpretacja dziedzictwa nie może być walką na mity, gdyż może przełożyć się także na działalność krajoznawczą i przewodnicką. Nie jest tak - jak naiwnie niektórzy sądzą - że uczeni zajmują się nauką, historycy historią, a politycy polityką. To politycy zajmują się historią, a polityka historyczna oparta na ideologii staje się przeciwieństwem historycznej prawdy. Ignorując fakty umiejętnie przenika do świadomości różnych grup społecznych. Oficjalnie przestają one żyć w dotychczasowej nieświadomości. Stają się świadome ..., tylko jakby nieco inaczej. W kontaktach publicznych działania te trudno nazwać "dyskusją", występuje w nich bowiem manipulacja, a nie komunikacja. Odmierna interpretacja antagonizuje grupy społeczne, które nigdy nie pójdą na kompromis. Paweł Jasienica w swoich „Rozważaniach o wojnie domowej” wyraźnie wskazywał, że: „Dyktatorskie rządzenie wiedzą

o przeszłości zalicza się do znanych i w gorzej niż sztuczny sposób skutecznych środków kierowania teraźniejszością”.

Polityka historyczna winna pozostawać w ścisłej relacji z wiedzą historyczną, czy przyrodniczą. Jednak obecnie podejście takie traktowane jest jako działanie całkowicie zbędne, wręcz szkodliwe dla sprawy i właściwego z punktu widzenia władzy ukształtowania świadomości społeczeństwa. Poglądy te reprezentowane są nie tylko w wypowiedziach niektórych polityków, lub barwnych manifestacjach polityczno-patriotycznych, ale głównie przez szereg niezwykle ważnych instrumentów polityki historycznej będących w dyspozycji władzy, np. finansowane przez państwo wychowanie, edukacja, media publiczne, czy badania naukowe. W tym ostatnim przypadku można nawet sądzić, że "rządowy" pracownik nauki ma prawo do własnych poglądów o tyle, o ile są one zgodne z obowiązującą poprawnością polityczną obozu władzy na utrzymaniu którego pozostaje. A jeżeli wyniki badań nie są z nią zgodne? A to tym gorzej dla nich! Ale to już temat na inną dyskusję.

W nauce istnieje zasada ukazywania przeszłości, a nie jej tworzenie dla ideologicznych celów. Nauka to stawianie pytań, jednak otrzymywane odpowiedzi mogą niekiedy przerażać. W tym jednak konkretnym przypadku wątpliwości jednak nie mamy. Zadane pytanie nie dotyczy bowiem problemu naukowego, ale ideologicznej działalności państwa. Nie może więc być, np. w mediach publicznych, innej interpretacji faktów historycznych niż oficjalnej, państwowej. Dotyczy to wszelkich dziedzin życia, a więc i turystyki. To nie nauka, ale polityka władzy w całej swojej brutalności ma nie tylko utrzymać w ryzach społeczeństwo - co wydaje się łatwiejsze - ale przede wszystkim zmienić jego sposób myślenia. Instrumenty polityki historycznej sterują praktycznie całością wszystkich poczynąń, także w zakresie badań naukowych, dydaktycznej działalności różnych typów szkół, polityką wydawniczą, teatrami, muzeami, wystawami, sztuką, ulicami, pomnikami i wieloma jeszcze innymi. Polityka historyczna może całkowicie zmienić i zmienia sposób interpretacji dziedzictwa także w turystyce, poprzez zatakanie faktów historycznych, wprowadzenie cenzury, skazanie na zapomnienie nie tylko postaci, ale także całych narodów z ich kulturą. Pomijany lub przemilczany jest fakt, że historię naszego kraju pisały różne narodowości, a np. w początkach XVII wieku przy małym udziale Polaków, bowiem byli oni w wyraźnej mniejszości (tylko niecałe 41% populacji I Rzeczypospolitej). Dotyczy to także kultury i sztuki, np. teatru zastępowanego przez patriotyczne manifestacje z własną interpretacją historii. Najczęściej trudno to zresztą nazwać interpretacją, są to bowiem wizje nie oparte na faktach, upowszechniane ani nie przez obrońców podstawowych wartości, ani też przez natchnionych wizjonerów.

Zgodnie z polityką historyczną interpretacja dziedzictwa, eksploatowanego instrumentalnie, dla potrzeb turystyki także jest lub zaraz będzie zupełnie inna. Polityka historyczna opiera się na kulcie osób i zdarzeń będących często historycznym kłamstwem, zmienia bohaterów i wzorce do naśladowania. Zmieniają się pomniki i tablice "ku czci". Jedni upamiętniają, inni usprawiedliwiają największe nawet zbrodnie, mordy, rzezie, czy czystki etniczne. To budowanie przez władze nowej tożsamości opierającej się na etosie własnych bohaterów i wzorców jest nie do przyjęcia dla wielu grup społecznych. Dawna ochrona dziedzictwa przyrodniczego jest interpretowana jako sabotaż poprzednich władz, ochrona atmosfery (a więc pośrednio także zabytków architektury, zasobów przyrody i zdrowia ludzi) to wrogi akt przeciwko polskim kopalniom i w ogóle przeciw Polsce. I można by tego rodzaju przykłady przytaczać bez końca. Zamiast zwycięstw czcimy klęski, budując za to mit zwycięstwa tam, gdzie go nie było. O znaczących sukcesach natomiast zapominamy, lub są one marginalizowane w skali kraju, czego przykładem może być powstanie wielkopolskie. Tylko w Wielkopolsce w pełni pamięta się zryw niepodległościowy Wielkopolan i jego znaczenie dla całego kraju, czci zapomnianych bohaterów i sławimy potęgę i sukces pracy organicznej. Działalności zupełnie niezrozumiałej poza Wielkopolską.

Wspomniany Paweł Jasienica w "Rozważaniach o wojnie domowej" już prawie pół wieku temu pisał": *"Dawno temu już zauważono, że w rewolucjach rolę szczególnego rodzaju odgrywają trzeciorzędni adwokaci oraz literaci tej samej rangi"*. I chociaż ta uwaga miała rzekomo dotyczyć powstań na zachodzie Francji w okresie rewolucji francuskiej, gdzie piękne idee szybko przekształciły się w ludobójstwo, to jednak miała ona i nadal ma charakter bardzo uniwersalny. Jakże to przecież znajome!

dr hab. Jacek Kaczmarek, prof. UŁ, Łódź

"Nienawidzę polityki i polityków". Tak zacząć się może SMUTEK CYWILIZACJI. Nie cierpię, kiedy polityka pojawia się na drogach, które przemierzam w moim życiu. Nie lubię, gdy polityka wpycha się do turystyki. Mierzi mnie wielobarwność turystyki, malowana kredkami polityków. Są oni zawsze tacy sami, niezmiennie wyniośli i zarozumiali. Permanentnie brakuje im pokory. I nie ma znaczenia, pod jakimi transparentami maszerują, białymi, czerwonymi, różowymi, zielonymi, czarnymi. itp. Ich cele są zazwyczaj imperialne, metody ich osiągnięcia są aroganckie. Niestety, turystyka zawsze była i będzie uwikłana w politykę. Wcześniejsi dyskutanci zwrócili na to uwagę i przedstawili obszerne odpowiedzi. Podziwiam zakres merytoryczny nadesłanych opinii na zadany temat. Czy mamy szansę zmienić taki stan rzeczy? Oczywiście nie! Możemy jednak starać się zmierzać w stronę apolitycznej turystyki. Możemy dbać o rzetelność dochodzenia do prawdy naukowej i o budowanie humanistycznych, wrażliwych postaw kształconych przez nas studentów.

Do zobaczenia na turystycznych szlakach, zabarwionych naturalną kolorystyką przyrody, pozbawionych politycznej wrzawy.

dr hab. Dariusz Dąbrowski, prof. IHiSM UKW Bydgoszcz

Wprowadzenie

Zacznę swą wypowiedź od wniosku, banalnego zresztą. W związku z tym, że przeszłość jest doskonałym narzędziem wpływania na teraźniejszość, polityka historyczna w sposób znaczny wpływa na interpretację dziedzictwa kulturowego. Nierzadko przy tym wpływ ten jest wprost szkodliwy. Nie wchodzę przy tym w charakterystyczne dla metodologii historii pytania na temat obiektywizmu przedstawiania dziejów, możliwości aparatu badawczego i – choć ten wątek pojawi się w dość specyficznej formie niżej – celów stawianych sobie przez historyków jako eksploratorów przeszłości.

Trawestując słowa L. von Rankego, od zarania dziejów ludzkości starano się ustalić w sposób korzystny dla siebie, „jak naprawdę było”, inaczej mówiąc, prowadzono politykę historyczną wpływającą w sposób istotny i zauważalny na różne sposoby na to, co obecnie nazywa się dziedzictwem kulturowym. Czymże innym jest bowiem na przykład wyobrażenie Ramzesa II „gromiącego wrogów pod Kadesz”, czymże jest wiecznie młody, idealny, patrzący bez strachu w przyszłość August z Prima Porta, albo też znany aż nadto dobrze sienkiewiczowski kanon postrzegania krzyżaków, utrwalony w świadomości przytłaczającej większości Polaków – jak to przenikliwie swego czasu zauważył Jarosław Krawczyk – do poziomu figurek plastikowych żołnierzyków włącznie, czy już z ostatnich czasów, gra tzw. „żołnierzami wyklętymi”. Oczywiście zjawisko to wpisuje się w specyfikę poznania przeszłości poczynając od działań specjalistów, skończywszy na upowszechnianiu wiedzy o minionych wiekach. Nas, ze względu na charakter pytania będzie interesował wyłącznie drugi wątek.

Zacznę od nakreślenia sytuacji zastanej. Jako pierwszy przykład posłuży mi przy tym „motyw krzyżacki”. Niezaprzeczalnym faktem jest, że współczesna Polska jest głównym dziedzicem państwa zakonu krzyżackiego w Prusach. W jego skład wchodziły przecież długi czas Pomorze Gdańskie, ziemia chełmińska oraz tzw. Warmia i Mazury (Prusy Wschodnie).

W trakcie swego panowania krzyżacy zdołali wytworzyć wprost olbrzymi dorobek materialny i kulturowy. Składają się nań choćby tak spektakularne zjawiska, jak sieć: ufortyfikowanych i doskonale urządzonych miast, wsi posiadających murowane kościoły oraz zamków. Pewna, całkiem imponująca część tego dziedzictwa zachowała się do naszych czasów, choćby w postaci gotyckich rdzeni założonych w 1233 r. Torunia (UNESCO) czy Chełmna (Pomnik Historii). Na spuścizną krzyżacką w XIX w. nałożyło się – jak najbardziej mające podłoże ideowe (to też glosa do naszego pytania) – kształtujące w wyraźny sposób obraz architektoniczny ziem państwa Zakonu zjawisko prusko – niemieckiego państwowego „neogotyku krzyżackiego” (setki ceglanych budynków użyteczności publicznej i in., najczęściej do dziś z powodzeniem pełniących swe oryginalne funkcje). Oto krajobraz kulturowy = dziedzictwo. A teraz pojawiają się ludzie. Chodzi oczywiście o Polaków napchanych sienkiewiczowskimi wizjami dumnych, noszących pawie pióra krzyżaków – grabieżców, prześladowców Danuś, krzywdzicieli Jurandów, śmiertelnych wrogów polskiej nacji, marzących o puszczeniu z dymem słomianych strzech mazowieckich wsi. Nie ulega wątpliwości, przeciętny mieszkaniec Małopolski czy Mazowsza, skłoni się ku obrazkowi z Sienkiewicza (doświadczałem takiego podejścia). A co ma zrobić mieszkaniec ziem byłego państwa Zakonu, stający wobec konfrontacji mitu narodowego z twardą rzeczywistością zachowanego dziedzictwa? Czy przypadkiem w jego głowie (mówimy tutaj oczywiście o osobie czynnie używającej mózgu) nie rodzi się pytanie o to, kim był w rzeczywistości krzyżak – kulturträgerem (nosicielem kultury) czy raubritterem (rycerzem-rozbójnikiem)? W tym momencie dochodzimy do sedna zagadnienia. Możemy przyjrzeć się stykowi pomiędzy polityką historyczną, prowadzoną przez różne czynniki w sposób mniej lub bardziej świadomy, a rzeczywistością. Skoncentrujmy się przy tym na wybranych przykładach z ziemi chełmińskiej i Torunia.

Przykład 1: sprawa pomnika krzyżaka w Toruniu. Bez wątpienia postawienie takiego, jedyne – o ile się nie mylę – w swoim rodzaju w Polsce pomnika (nie liczę wyobrażeń Mistrzów z zamku w Malborku) wygenerowałoby, być może dla wielu kontrowersyjną, atrakcję turystyczną. Inicjatywa taka podejmowana była nie raz (choćby w 2008 i 2012 r.). Nie udało się jej zrealizować ze względu na opór środowisk „narodowych”. Widać tu wyraźnie, jak „mit” zwycięża potencjalny atraktor turystyczny.

Przykład 2: Centrum Kultury Zamek Krzyżacki w Toruniu (<http://ckzamek.torun.pl/>). Ta powstała w 2007 r. instytucja samorządowa z powodzeniem (czasami w sposób budzący – hmmm – kontrowersje, korzysta z symboliki krzyżackiej (chorągwie, heraldyka, eventy z wątkami krzyżackimi, rekonstruktorzy w strojach krzyżackich, krzyżacka ekspozycja muzealna). W tym wypadku zwyciężyło „dziedzictwo”. Udało się na bazie materialnych pozostałości zbudować pewną, będącą atrakcją turystyczną wizję „krzyżackości”. Nad zamkiem – co wymowne – powiewa zakonna flaga, bo czemu miałaby nie powiewać? Sienkiewicz przegrał z imponującymi ruinami, świadczącymi o rozwoju myśli technicznej i zmyśle artystycznym budowniczych pracujących dla Zakonu.

Przykład 3: Losy zamków krzyżackich ziemi chełmińskiej (zob. ciekawą stronę: <http://archeozamki.pl/>). Jest to problem złożony i raczej bolesny. Nie licząc biskupich, w ściśle pojmowanej ziemi chełmińskiej zachowały się w różnym stanie ruiny 10 zamków zakonnych (nie liczymy biskupich (Wąbrzeźno), a także obiektów, które całkowicie przepadły (Unisław, Starogród, Pień, niech będzie - Wieladz) lub zamkami formalnie do końca nie były (dwór krzyżacki w Chełmnie z tzw. wieżą Mestwina) oraz fortyfikacji znajdujących się na obszarach historycznie łączonych z Culmerlandem (Rogoźno Zamek, Kurzętnik, Bratian, z tego powodu odpada też kujawska Nieszawka). Są to: Brodnica, Golub, Grudziądz, Kowalewo, Lipienek, Papowo Biskupie, Pokrzywno, Radzyń Chełmiński, Toruń,

Zamek Bierzgłowski. Za wyjątkiem dobrze zmuzealizowanych obiektów w Brodnicy i Toruniu, przejętego przez kościół katolicki i wykorzystywanego komercyjnie Zamku Bierzgłowskiego oraz Golubia cieszącego się ogólnopolską sławą, ale nie do końca wynikającą z krzyżackości (Anna Wazówna, turnieje „ogólnorycerskie”, bale noworoczne itp.) pozostałe zamki zdecydowanie domagają się większej uwagi. Owszem, ostatnimi czasy odbudowano donżon zamku grudziądzkiego (tzw. Klimek) i uczyniono z niego całkiem „krzyżacką” atrakcję, prowadzone są prace konserwatorskie w Radzynie. Wszystko to jednak za mało. Można powiedzieć, że przepada pięknie położona (i dysponująca choćby gotycką stodołą na przedzamczu) fortalicja w Pokrzywnie (niefortunnie kiedyś oddana w prywatne ręce). Zapomniany jest całkowicie Lipienek. Niszczące imponujący zamek w Papowie Biskupim, na wykorzystanie którego nie ma chyba żadnego pomysłu, mimo jego relatywnie korzystnego położenia. Oprócz prac archeologicznych nic się nie dzieje – o ile mi wiadomo – z zamkiem w Kowalewie. Tutaj widać, jak sędzę, że polityka historyczna nie sprzyja ekonomii. Nie ma presji, by „rzucić środki” (na przykład centralne) na odbudowę „naszego”, przecież żaden powstaniec styczniowy, ani inny w takim zamku się nie bronił i nie zginął. A biedne miejscowe gminy nie są w stanie odpowiednich pieniędzy wygenerować.

Przykład 4: My – krzyżacy. Świadomość mieszkańców Torunia i ziemi chełmińskiej o krzyżackiej przeszłości. Jak dość powszechnie wiadomo, bydgoszczanie (i nie tylko oni) złośliwie nazywają torunian „krzyżakami”. Problem jednak w tym, że raczej nikt się w Toruniu na to przezwisko nie obraża. Jest ono dość powszechnie akceptowane. Swego rodzaju przywiązanie do „krzyżackości” przejawia się to na przykład „krzyżackimi” akcentami w symbolice toruńskiego klubu żużlowego, a także – co z perspektywy naszych rozważań istotniejsze – eksplozją różnorodnych gadżetów „krzyżacki” w sprzedaży turystycznej. Nie ma chyba takiego drugiego miejsca w Polsce, gdzie na każdym kroku powiewałyby krzyżackie sztandary (czasami dziko zmutowane), a obok tarcz z orłem białym, można kupić białe tarcze z krzyżem. Przemysł „krzyżacki” – krótko mówiąc – kwitnie. I tu widać, jak ekonomia wygrywa z mitem historycznym = polityką historyczną.

Próba podsumowania przedstawionych przykładów

Jest z tą „krzyżackością” w Toruniu i ziemi chełmińskiej różnie. Jednak w ogólnym rozrachunku, budowana przez politykę historyczną presja nie stłumiła zdroworozsądkowego podejścia do własnego dziedzictwa. Zostało ono, mimo, że „obce”, oswojone i jest z dobrym skutkiem wykorzystywane turystycznie. Wiele jeszcze tutaj do zrobienia, ale nikt (oczywiście, nie mam na myśli narodowych ekstremistów) na przykład w Toruniu nie ukrywa wizerunków mistrzów krzyżackich (zob. choćby przedsiónek w Dworze Artusa), nikt nie udaje, że Toruń nie był krzyżackim poddanym. Nikt nie kwestionuje zasług Zakonu dla rozwoju miasta. Wprost przeciwnie, jest to powód swoistej dumy, przyczyniający się do kształtowania oferty turystycznej.

I jeszcze uogólnienie

Widać, co i gdzie może postawić granice nachalnej polityce historycznej. Jest to oparty na obserwacji dziedzictwa oddolny ruch społeczny. Nie da się wbrew faktom przekonać definitywnie i całkowicie świadomych ludzi do głoszonych odgórnie „prawd historycznych”.

Jest to ważne spostrzeżenie z perspektywy wykorzystywania lokalnych odrębności jako atrakcji turystycznych. Ostatecznie tak robi się z wątkiem żydowskim w wielu miejscach, choćby na Kazimierzu w Krakowie. Problem ten jest zresztą w praktyce polskiej niezwykle ważny. Przecież w granicach kraju mamy „obcy” Śląsk. To samo można powiedzieć o ziemiach, które kawał swych dziejów przeżyły jako historyczna Ruś. Jakże różnie wygląda tam podejście do „ruskiego dziedzictwa”. Znajdujemy przykłady bardzo dobrego jego wykorzystania (drewniane cerkwie regionu karpackiego – ostatni polski wpis na listę

dziedzictwa UNESCO) czy też działania wokół „oswojenia” ruskiej przeszłości w Chełmie i okolicach, podjęte przez dużą grupę ludzi, w tym archeologów (A. Buko, T. Dzieńkowski, S. Gołub, U. Ruszkowska), muzealników (K. Mart) i konserwatorów zabytków (S. Rudnik). Mamy jednak i przykłady odwrotne, takie jak „niemoc” przemyska, delikatnie i w sposób zawoalowany określając miejscowy stosunek do ruskiego dziedzictwa.

Pamiętajmy więc – na końcu tekstu pojawi się motto – że „prawda historyczna nie zna narodowości”. Kierując się taką zasadą możemy wiele ugrać jako osoby budujące samoświadomość społeczną wspólnot lokalnych i równocześnie, przedstawiające pewne oferty turystyczne. Wszystko to w oparciu o bogate i zróżnicowane, także pod względem narodowościowym dziedzictwo. Prowadźmy więc politykę historyczną w oparciu o przedstawioną wyżej zasadę. Na coś się przydamy społeczeństwu. Na coś się jemu przyda wówczas „polityka historyczna”.

dr Mariusz Menz, Zakład Kultury i Myśli Politycznej, UAM Poznań
Meandry polityki historycznej, czyli nowe (być może) szlaki żołnierzy „wyklętych” i „niezłomnych”

Termin „polityka historyczna” – czego chyba nie wiedzą jego współcześni polscy admiratorzy – ma proveniencję niemiecką (*Geschichtspolitik*). Po raz pierwszy został użyty w trakcie tzw. „sporu historyków”, który w latach 1986-1987 toczył się na łamach prasy zachodnioniemieckiej i dotyczył stosunku Niemców do ich najnowszej historii. Debata rozpoczęli historycy konserwatywni (Friedrich Karl Fromme, Ernst Nolte, Andres Hillgruber, Michael Stürmer i Klaus Hildebrand), którzy podnieśli konieczność akcentowania tych aspektów niemieckiej historii, które dawałyby Niemcom nieco poczucia dumy z ich własnej przeszłości, a nie tylko ciągle przypominały o ich winie za niechlubne lata przeszłości (zwłaszcza Holocaust). Termin „polityka historyczna” u swoich źródeł miał jednak charakter dezawuujący i został wprowadzony do dyskursu przez lewicowych (lewackich?) intelektualistów (np. Jürgena Habermasa), którzy postulaty konserwatywnych adwersarzy uznali za rewizjonistyczne (na ten temat zob.: A. Wolff-Powęska, *Pamięć – brzemię i uwolnienie. Niemcy wobec nazistowskiej przeszłości (1945–2010)*, Wydawnictwo Zysk i s-ka, Warszawa 2011).

W Polsce termin „polityka historyczna” został spopularyzowany przez Prawo i Sprawiedliwość w trakcie jej pierwszych koalicyjnych rządów w latach 2005-2007 (zob. więcej: *Polityka historyczna*, [w:] *Modi memorandi. Leksykon kultury pamięci*, red. M. Saryusz-Wolska, R. Traba, współpraca J. Kalicka, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa, 2014, s. 378–387), a obecnie – po wygraniu przez tę partię wyborów i przejęciu samodzielnej władzy – przybiera postać „podnoszenia Polski z kolan”. Próbkę mogliśmy zaobserwować wiosną tego roku podczas obchodów tzw. dnia „żołnierzy wyklętych” oraz szóstej rocznicy katastrofy smoleńskiej. Efekty tych działań dają się już zauważyć. Wczoraj usłyszałem np. od swojego znajomego, że zgłosiła się do niego studentka z propozycją napisania pracy licencjackiej pt. „Miejsca pamięci związane z walkami „żołnierzy wyklętych”. Kiedy potencjalny promotor zapytał, czy wie, kim byli owi „żołnierze wyklęci”, ze zdziwieniem odparła: „Jak to kim byli? – bohaterami walczącymi z komunistami o wolną Polskę”. Po dłuższej rozmowie okazało się jednak, że jej merytoryczne przygotowanie do tego tematu jest właściwie żadne. Armia Krajowa myliła jej się z Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Nie miała zielonego pojęcia o tym, że do tych miejsc pamięci, o których chciałyby pisać swoją pracę, musiałaby zaliczyć np. wieś Zaleszany na Podlasiu, gdzie oddział dowodzony przez „wyklętego” (wszak walczył z komunistami) Romualda Rajsa „Burego” dokonał mordu na ludności cywilnej (łącznie zginęło 16 osób – w tym dzieci) za to, że rzekomo sprzyjała ona władzy ludowej. Podobnie nie wiedziała, że oddział dowodzony przez innego „wyklętego” Józefa Kurasia „Ognia” w dniu 2 maja 1946 r. w okolicach

Krościenka nad Dunajcem zamordował jedenastu Żydów. Oczywiście fakty te nie przekreślają bohaterstwa innych „wyklętych”, takich jak np. Inka. Tyle tylko, że przypadek wspomnianej studentki – jak wolno przypuszczać – wcale nie jest odosobniony. Chce ona uprawiać historię, której nie rozumie. Historia miesza się jej z para-historią. Nie wie, że historyk powinien badać mity i je wyjaśniać – nie jest natomiast jego zadaniem ich wzmacnianie.

Nie winiłbym jednak owej studentki za jej braki. Czy w szkole miała ona okazję podyskutować o kontrowersyjnych tematach? Czy też – a idę o zakład, że tak właśnie było – nauczyciele nie znaleźli czasu na dyskusję, gdyż należało „gonić” z materiałem i rozwiązywać testy zadaniowe. Jakże historia szkolna oddaliła się bowiem od historii akademickiej. Który z zawodowych historyków rozwiązuje testy? I tutaj dochodzę do pierwszej konkluzji: historia szkolna nie odzwierciedla historii naukowej. Oczywiście ta pierwsza pozostaje w pewnym z związku z tą drugą, ale cele obu są inne. Historia akademicka jest efektem pracy badawczej profesjonalnie wykształconych historyków, którzy w swoich zabiegach opierają się na panujących w danej epoce wzorcach badawczych (paradygmatach) i przestrzegają metodologicznych procedur. Funkcją historii *ad hoc* jest poznanie i przekazanie społeczeństwu wiedzy o przeszłości, która w wyniku naukowego dyskursu podlega weryfikacji i obiektywizacji. I dopiero w takiej uznanej formie jest ona transmitowana do oficjalnego obiegu szkolnego, w którym podlega jednak dalszym procesom: polityzacji (czyli wpisywania w ramy obowiązującej polityki historycznej państwa) i pedagogizacji (przystosowywania do odbioru jej przez uczniów). W efekcie to, co mamy w szkole jest nastawione raczej na implementację obowiązującej w danym czasie polityki historycznej (cele ideowo-wychowawcze jako prymarne) niż na naukowy dyskurs (cele poznawcze są w nim najważniejsze).

Drugi zasygnalizowany przykład – katastrofa smoleńska – jest z kolei exemplum konsekwentnie budowanego przez Jarosława Kaczyńskiego mitu fundacyjnego. Jego nieskrywanym celem jest wykreowanie Lecha Kaczyńskiego na prezydenta „niezlomnego”, kontynuatora patriotycznych tradycji walk „o wolność waszą i naszą” (vide: wojna w Gruzji). I to prezydenta, który „poległ” w bitwie, a nie zginął w wypadku komunikacyjnym. Nowy apel poległych, którego modyfikację wprowadził minister Macierewicz, nakazuje już wymieniać podczas uroczystości z asystą wojskową Lecha Kaczyńskiego z małżonką, a także (póki co) Ryszarda Kaczorowskiego oraz wszystkich dowódców i kapelanów, którzy zginęli w Smoleńsku. Padają słowa: „Wiernie pracowaliście dla Polski i zginęliście, wypełniając patriotyczny obowiązek. Pamięć o Waszej służbie dla Ojczyzny i tragicznej śmierci pozostanie na zawsze w sercach rodaków!”. Ta nowa wersja apelu ma być odczytywana podczas wszystkich uroczystości patriotycznych i patriotyczno-religijnych z udziałem wojskowej asysty honorowej. Usłyszymy ją też podczas uroczystości rocznicowych pod pomnikiem Poznańskiego Czerwca 1956 roku.

Niektóre więc ofiary wypadku lotniczego zostały tak wyselekcjonowane, aby można je było ustawić do apelu poległych, gdyż zginęli podczas „wypełniania patriotycznego obowiązku”. Czy to znaczy, że inne ofiary tej samej katastrofy nie wypełniały patriotycznego obowiązku? Dlaczego nie wymienia się – aby trzymać się pewnej logiki – ofiar dowódców, którzy zginęli podczas katastrofy samolotu CASA 23 stycznia 2008 r. w Mirosławcu? Są to pytania retoryczne. Lecha Kaczyńskiego wpisuje się *expressis verbis* w tradycję niepodległościową (MON tak właśnie uzasadnia decyzję o wpisaniu ofiar katastrofy smoleńskiej do apelu poległych). Obecna polityka historyczna stawia wszakże na kultywowanie tradycji insurekcyjno-niepodległościowych. A że katastrofę smoleńską – nie deprecjonując jej tragicznego wymiaru – trudno jednak wpisać w szlak bojowy wiodący Polskę do niepodległości – to nie ma większego znaczenia. Polityka historyczna jest przecież grą emocji, a nie rozumu. Jakakolwiek racjonalizacja zakłada intelektualny dystans, chłodną

analizę. A tutaj chodzi przecież o patriotyzm „gorący”. Miesięcznice, nowy apel poległych, to tylko preludium.

Nowa polityka historyczna zechce tworzyć również nowe szlaki kulturowe. Jednym z nich będzie szlak „żołnierzy wyklętych”. A drugim – szlak „żołnierzy niezłomnych”. I na tym ostatnim nie tylko znajdą się pomniki Lecha Kaczyńskiego. Nie mam żadnych wątpliwości, że kolejnym etapem będzie budowa muzeum poświęconego pamięci „poległego” Prezydenta RP. A tradycja? Jakież ona ma znaczenie w polityce historycznej? Wszakże prezydentem, który **poległ** z rąk zamachowca był Gabriel Narutowicz. Ale co tam tradycja! Ona może przecież – jak twierdził Eric Hobsbawm – być „wynajdywana”. A zatem: *ad rem*! Nie dyskutujemy, tylko wynajdujemy. Wynajdujemy i kultywujemy. Kultywujemy, a potem budujemy. Polityka historyczna zawsze wynajdzie potrzebną tradycję. A od turystyki kulturowej będzie się oczekiwać, żeby ją utrwaliła. I to moja druga zasadnicza, niestety pesymistyczna konkluzja.

dr Sabina Owsianowska, AWF Kraków / dr Magdalena Banaszkiewicz, UJ Kraków

W pierwszej kolejności chcielibyśmy serdecznie podziękować wszystkim Ekspertom za wzięcie udziału w dyskusji. Państwa odpowiedzi potwierdzają, że temat interpretacji i reinterpretacji dziedzictwa w kontekście tzw. polityki historycznej zajmuje ważne miejsce zarówno w teoretycznej refleksji, jak i praktyce osób naukowo i profesjonalnie zajmujących się turystyką. W ostatnich miesiącach w Polsce kwestia ta wyraźniej przebija się do sfery kultury, można odnieść wrażenie, że historia XX wieku napisana ma być na nowo. Obawy budzi brak respektowania podstawowych zasad rzetelności badań naukowych. Nowi bohaterowie stawiani są na piedestale, „wynajdywane” są nowe tradycje, a zatem – jak słusznie zauważa dr Menz – do zadań turystyki kulturowej będzie należało umacnianie tego kierunku zmian, upowszechnianie nowych narracji, utrwalanie nowych tradycji. Co to oznacza dla nas: piszących na temat turystyki (kulturowej) i dziedzictwa; przybliżających spuściznę przeszłości turystom reprezentującym różne „segmenty” (odwołując się do terminologii marketingowej) czy typy turystów; obserwujących proces tworzenia dziedzictwa na potrzeby turystycznej promocji miejsc, ale i w celu propagowania określonej wizji historii; odkrywających i projektujących strategie narracyjne zarówno w odniesieniu do ponadczasowych motywów, jak i ulotnych mód, w odniesieniu do wiedzy zgromadzonej dzięki badaniom? Czy możemy odrzucić polityczną wrzawę i po prostu ruszyć na szlak, zostawiając w tle wysiłki przewartościowań minionych zdarzeń? Byłoby to rozwiązanie idealne, jednak świadomość tego, jakie mechanizmy decydują o uznaniu czegoś za dziedzictwo (lub nie) każe nam zweryfikować postawę nazbyt optymistyczną i przyznać, że nie da się uciec od polityki (historycznej), zwłaszcza w czasie, gdy jest ona z tak wielkim zapalem promowana i wdrażana: poczynając od propagandy medialnej, poprzez edukację, na wypełnianiu czasu wolnego odpowiednimi treściami ideologicznymi kończąc.

Z drugiej strony, nie chcemy sugerować, że należy poddawać się pesymizmowi czy rezygnować z działania. Przeciwnie, bliskie są nam zarówno słowa prof. J. Kaczmarska o odpowiedzialności, jaka spoczywa na nauczycielach akademickich, jak i wypowiedź prof. Dąbrowskiego zachęcającego do przyjęcia roli osoby budującej samoświadomość społeczną lokalnych wspólnot poprzez działalność turystyczną, czy wreszcie postulaty zgłoszone przez prof. A. Mikosą v. Rohrscheidt. Konkretnie przykłady i rozwiązania sprawiają, że ogólnikowo brzmiące hasła można bez trudu odnieść do realiów, które są nam dobrze znane, ale często nie do końca uświadamiamy sobie wagę zaniechań i zaniedbań w zakresie popularyzowania rzetelnej wiedzy o przeszłości, która nie ma jednego wymiaru i nie została w wielu przypadkach właściwie „przepracowana”. W drugiej połowie ubiegłego stulecia przemilczane przez dziesięciolecia tematy, wykluczane z debaty publicznej mity

zakorzenione w zbiorowej świadomości, tłumione emocje kilku pokoleń (można tu przywołać opinie o swoistej „fantomizacji” np. niektórych regionów II Rzeczypospolitej, o której pisze Robert Traba w odniesieniu do dawnych Kresów Wschodnich) zaczęły powracać, odsłaniając złożony i niejednoznaczny obraz przeszłości i różne pomysły na jej przybliżenie (np. poprzez wycieczki/pielgrzymki, muzea, rekonstrukcje historyczne, atrakcje turystyczne).

Skoro decydujemy się na działanie, należy wiedzieć, jak je prowadzić. Na wstępie najistotniejsze jest uświadomienie sobie, że podejmując się interpretacji dziedzictwa w turystyce zajmujemy się znaczeniami, a więc ideologią. W jaki sposób możemy pokonywać pojawiające się bariery? W opinii Prof. Kowalczyka, ale również Prof. A. Mikosa v. Rohrscheidt, kluczem jest ukazywanie odwiedzającym problemu widzianego z różnych perspektyw, przedstawianie i zestawianie ze sobą alternatywnych narracji (powinno to być realizowane w takich miejscach jak muzea, miejsca pamięci, centra interpretacji, szlaki i trasy historyczne itp.) Armin Mikos v. Rohrscheidt przywołuje klasyczne dzieło F. Tildena i sugestywnie wpisuje zawarte w nim zasady do katalogu wytycznych dla współczesnego interpretatora dziedzictwa kulturowego. Profesorowie K. Kasprzak i B. Raszka podkreślają, jakie ryzyko wiąże się z traktowaniem interpretacji dziedzictwa jako przestrzeni, w której ścierają się różne mity. Przewodnicy, popularyzatorzy krajoznawstwa znajdują się w sytuacji, w której mogą być zobligowani do przyjmowania polityki historycznej, opartej na ideologii, jako punkt odniesienia i źródło informacji “wartych przekazania”.

W Państwa wypowiedziach pojawia się istotne rozróżnienie historii i dziedzictwa, z czym wiąże się problematyka pamięci. Sharon Macdonald, pisząc o procesie „uobecniania przeszłości” podkreśla fakt, że historia tworzona jest przez historyków na podstawie analizy materiałów źródłowych, podczas gdy dziedzictwo to produkt współczesności. Inni badacze, w tym John Tunbridge i Gregory Ashworth, także zwracają uwagę na strategie interpretacji dziedzictwa, która dokonywana jest w kontekście wyobrażeń o przeszłości na potrzeby teraźniejszości i przyszłości. Pobieżne nawet spojrzenie na dzieje Polski (oraz całego regionu Europy Środkowej i Wschodniej) pozwala dostrzec rozmaite trudności w interpretowaniu dziedzictwa. Skomplikowana historia tworzy kontekst narracji turystycznych, stanowiących narzędzie promowania walorów regionu i kształtowania doświadczeń podróżników, ale również upowszechniania, wzmacniania lub podważania stereotypów: etnicznych, narodowych, wyznaniowych... Analiza procesu tworzenia dziedzictwa wskazuje na różne “punkty sporne”, w których może wystąpić brak harmonii, dysonans, chociażby ze względu na pozycję społeczną danej osoby. Kwestię tę poruszył w swojej wypowiedzi m.in. prof. Armin v. Rohrscheidt, nawołując do tego, aby w turystyce kulturowej patrzeć na przeszłość nie tylko z perspektywy znanych bohaterów, ale również zwykłych ludzi różnych epok. To z nimi łączy nas przekaz w ramach pamięci komunikacyjnej, którą – obok pamięci kulturowej – wyodrębnia Jan Assmann. Wyjście poza uproszczone, gotowe schematy interpretacyjne stwarza szansę na podjęcie dialogu uwzględniającego alternatywne wersje zdarzeń, sprzeczne opinie, różnice doświadczeń, niuanse, dla których nie ma miejsca w “czarno-białej” wizji świata. Nieustanna reinterpretacja mitów, destereotypizacja, zachęcanie do krytycznego myślenia to podstawa dialogicznej postawy, która jest warunkiem wstępnym wzajemnego zrozumienia – te wnioski z przesłanych odpowiedzi także uznać można za szczególnie przydatne w nawiązaniu do omawianego zagadnienia.

Zarządzanie dziedzictwem, w tym jego interpretacja na potrzeby turystyki kulturowej, mogą zatem wpływać nie tylko na zrozumienie przeszłości i doświadczeń innych ludzi, ale także oferować narzędzia do krytycznego odbioru przekazu informacyjnego i promocyjnego w turystyce i poza nią. Te ogólnikowe stwierdzenia przekładają się w praktyce na konkretne działania. Ich celem jest ustalenie, w jaki sposób przedstawiać trudne dziedzictwo: jak identyfikować, dokumentować, rejestrować, chronić miejsca z nim

związane; jak nimi zarządzać na potrzeby turystyki, ale również szeroko rozumianej edukacji? Jak w dyskursie turystycznym uwzględniać sprawy, które nie doczekały się dotąd wyjaśnienia i zadośćuczynienia, wątki wykluczane i zakłamywane? Pytania te pozostają otwarte, zwłaszcza jeśli bierzemy pod uwagę kwestie, które – ze zrozumiałych względów – wciąż budzą opór, moralne dylematy i silne emocje. Pytania te uświadamiają również ogrom pracy “u podstaw”, którą należy wykonać w różnych dziedzinach życia społecznego – dla nas kluczowe są oczywiście te związane z dziedzictwem i turystyką, które jednak nie funkcjonują w apolitycznej enklawie (wręcz przeciwnie!). Swoista „polityka historyczna”, jak pisze prof. Dąbrowski, może zatem służyć nie temu, aby odgórnie, z pominięciem pewnych faktów i eksponowaniem innych, narzucać społeczeństwu, kogo i co należy czcić (lub nie), ale by sprzyjać upowszechnianiu wiedzy i dzieleniu się doświadczeniem z innymi. I warto – do czego zachęca również prof. Kowalczyk – zapoznawać się z osiągnięciami badaczy i praktyków z krajów, które mają większy dorobek w radzeniu sobie z trudną historią w odniesieniu do dziedzictwa i turystyki kulturowej .